

Miało być o maturze...

Sławomir Osiński, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 47 im. Kornela Makuszyńskiego w Szczecinie

Czy warto pisać felietony? Czy warto pisać cokolwiek, dajmy na to bloga czy jakieś informacje na Twitterze? Chyba nie, bo wszakże po co pisać, kiedy niewiele się ma do powiedzenia. Fakt, że dzisiejsze media, z Internetem na czele, aż się roją od takich właśnie indywiduów, które w pocie czoła i nieszczęsnej klawiatury zapełniają wirtualną bądź papierową przestrzeń jakimś tragicznym pustostowiem. A może właśnie ersatz, pozory są istotą działania w dzisiejszym świecie...? Ciekawe, czemu mam takie refleksje, gdy planuję najbliższe zajęcia dla uczniów i studentów. Opowiem o ładnej teorii, odwołam się do praktyki nieprzystającej do żadnej z najpiękniejszych teorii, i tyle. Jaki oni wyniosą z tego pożytek? Jaki ja kiedyś z podobnych zajęć wyniosłem? Czyżby jednak *vanitas vanitatum*...?

Na początku listopada w Książnicy odbyła się promocja tomiku *(Po)między* Mirosławy Piaszkowskiej-Majzel. Utwory znakomicie czytali jej uczniowie: Katarzyna Klepacz, Aleksandra Przybyłowicz, Gabriela Rutkowska, Arkadiusz Lange i Przemysław Cichowlas. O tekstach może napiszę innym razem, ale wielkie wrażenie wywarło na mnie wyznanie autorki, swoiste świadectwo jednej z najważniejszych cech dobrego nauczy-

ciela – wiarygodności. Padły warte głębszej refleksji słowa, szczególnie przydatne stawiającym pierwsze kroki w zawodzie nauczyciela: „Nie mam zwyczaju mówienia uczniom o tym, że piszę, ale ostatnio próbuję zweryfikować tę myśl. Nie mam zwyczaju dlatego, że szkoła to specyficzna instytucja. To jest moje prywatne działanie. I nie chcę łączyć spraw zawodowych z prywatnymi, ale nie da się chyba oddzielić tego, co prywatne, od tego, co zawodowe. To sztuczny jednak podział. Chciałabym mieć kiedyś powiedzieć, że chcę dać świadectwo temu, co mówię na lekcji. A więc kiedy mówię, że to jest cudowna książka, i warto przeczytać *Mistrza i Małgorzatę*, to znaczy, że ja mówię prawdę. Bo ta moja prawda tkwi w tym świadectwie, czyli w tym, że ja też piszę. (...) Kiedy po raz pierwszy czytaliśmy moje teksty z uczniami, byłam zaskoczona sobą, jak to się dzieje, że ja się tym tak denerwuję, dlaczego jestem tak niespokojna, dlaczego ja nie umiem opanować rąk, dlaczego ja w ogóle niczego nie umiem. Kiedy czytaliśmy te teksty po raz drugi, po tygodniu, znowu się denerwowałam, nie mogłam opanować swoich ruchów. I to było niebywale trudne doświadczenie, ale dzisiaj już byłam spokojna. Myślę sobie, że, tak naprawdę, to chyba dobrze, że uczniowie widzą mnie jako człowieka, widzą mnie bardziej w pełni niż tylko jako nauczyciela, bo ja nieustannie mówię uczniom, że ja chcę być przez nich postrzegana jako Mirosława Majzel, człowiek, który wybrał sobie zawód nauczyciela, a nie Mirosława Majzel – nauczyciel. To jest dla mnie sedno. To pisanie i mówienie o tym przy uczniach – to świadectwo”.

Byłem w Krakowie na I Kongresie Dydaktyki Polonistycznej, o czym piszę w poważniejszym sprawozdaniu. Tu parę mniej oficjalnych, wykluczonych wtedy refleksji.

Niż demograficzny, który dotknął szkoły kilkanaście lat temu, dotarł do uczelni i wyrwał je z gnuśności i marazmu. Odrobinkę. Słuchałem i miałem czasami wrażenie, że wśród niektórych, nielicznych na szczęście, uczonych widać zamknięcie się w szklanej wieży i oderwanie od ży-

cia. U nauczycieli licealnych – widać to jeszcze bardziej. Chwilami czułem się jakbym był z innej planety. Też słowo referatowe mówiłem, felietonowo i z rysunkami, ale widziałem, że opowiadam o światach nieznanym. Ze szkół tylko pani z XIII LO z Wrocławia w normalności osadzona. Dla sporej grupy pedagogika emancypacyjna, ocenianie kształtujące, dialogizm Tischnerowski, odchodzenie od teorii kar-nagród, uczenie się, informacja zwrotna – to pojęcia tajemne i niebezpieczne. Taki sam stosunek mają do świata cyfrowego. Odkryciami są sprawy, o których mówiliśmy na szczecińskich konferencjach siedem, osiem lat temu. Niestety, u niektórych egzemplarzy popularny jest syndrom ropuszki uczonej.

Na Kongresie prawie wszystkie sławy polonistyczne, więc na żywo mogłem spojrzeć, zagadać. Byli też pisarze: kostywno-ironiczny Stefan Chwin, bardzo ciepła Olga Tokarczuk oraz Wojciech Bonowicz. Zaleciłem onemu napisanie *Bajek Misi Fisi* dla równowagi feministycznej. Chwilę pogadaliśmy – tutaj ten sam poziom wrażliwości i otwartości na świat. Uświadomiłem też sobie, że tak naprawdę, mimo marudzenia i depresji naturalnej, nie miałem nigdy syndromu wypalenia zawodowego. Nawet brak pie-

niędzy nie wynikał z przyczyn pracowych. A propos: dyrektorzy krakowskich szkół mieli kilka lat temu najpodlejsze uposażenia, a teraz 5 tysięcy na rękę, dużo lepiej niż my, bidoki ze Szczecina. Nawet na podłym Facebooku napisałem między innymi o tym, że pełne są knajpy i kafejki, a przekrój społeczeństwa w nich od 18 do 100 lat, czynności różne, spożywalność przyjemna... Lubię być czasem w Krakowie, choć Szczecin to Europa i cywilizacja. A tu intelekt i mądra tradycja, i sztuka. I budynki piękne a dawne, ale zrujnowane, co mnie boli czemuś niezmiernie. Poza tym taka ciekawostka, że mnóstwo ludzi pali tutaj obficie papierosy...

W Krakowie słuchałem też twórców nowej matury, która będzie o wiele trudniejsza, bo oparta na kontekstach. Mają pojawiać się nie tylko teksty z lektur, ale też publicystyka, teksty krytyczno-literackie, filozoficzne czy kulturowe. Konteksty łatwiej będzie ująć przy szerokiej znajomości nie tylko literatury, ale także innych dziedzin kultury; szczególnie przydatna będzie znajomość historii sztuki i powiązań literatury z historią sztuki. Podoba mi się, tylko lęk, co z tego wyniknie, gdy przemielą to młyny CKE? No właśnie – miało być o maturze... I trochę jest.

